

T.K-B. [s. 20-22]

[...] Wszyscy zbieraliśmy się tu wcześniej, żeby nie spóźnić się na przyjazd cesarza, bo ta chwila miała dla nas szczególne znaczenie. Każdy chciał się koniecznie pokazać, bo miał nadzieję, że będzie zauważony przez cesarza. [...] Otóż wiadomo było, że pan dzięki temu, iż nie korzystał z umiejętności czytania ani pisania, miał fenomenalnie rozwiniętą pamięć wzrokową. I na tym darze natury mógł budować nadzieje właściciel twarzy, po której przemknęła żrenica cesarska. [...] Następnie czekało się, że przyjdzie taki moment, kiedy cesarz pomyśli: zaraz, zaraz, twarz znana, a nazwiska nie znam. I, powiedzmy, spyta o nazwisko. Tylko o nazwisko, ale to wystarczy! Teraz twarz i nazwisko łączą się i powstanie osoba, gotowy kandydat do nominacji. Ba sama twarz – to anonim, samo nazwisko – to abstrakcja, a tu należy zmaterializować się i ukonkretnić, przybrać kształt, formę, zdobyć odrębność. O, był to los najbardziej wyczekiwany, ale też jakże trudny do spełnienia. Bo na tym dziedzińcu, gdzie otoczenie witało cesarza, chętnych do podsuwania twarzy były dziesiątki i nie przesadzę – setki, twarz ocierała się o twarz, wyższe tłamsiły niższe, ciemniejsze przyciemniały jaśniejsze, twarz gardziła twarzą, starsze wysuwały się przed młodsze, słabsze ulegały silniejszym, twarz nienawidziła twarzy, pospolite zderzały się ze szlachetnymi, zaborcze z wątlami, twarz miażdżyła twarz, ale nawet te poniżone, odepchnięte, trzeciorzędne i pokonane, nawet one, w pewnym oddaleniu co prawda, narzuconym przez prawo hierarchii, ale przesuwały się do przodu, wychylając się to tu, to tam spoza twarzy pierwszorzędnych i utytułowanych bodaj skrawkiem tylko, uchem lub kawałkiem skroni, policzkiem lub szczęką, byle bliżej cesarskiej żrenicy! Gdyby dobrotliwy pan chciał ogarnąć spojrzeniem całą scenę, jaka otwierała się przed nim po wyjściu z samochodu, dostrzegłby, że nie tylko toczy się ku niemu pokorna i zarazem rozgorączkowana magma stugębna, ale że poza tą grupą centralną i wysoce utytułowaną, na prawo i na lewo, przed nim i za nim, dalej i zupełnie daleko, w drzwiach, w oknach, pod drzwiami i na ścieżkach całe rzesze lokajów, służby kuchennej, sprzątaczy, ogrodników i policjantów również podsuwają mu swoje twarze do zauważenia. I pan nasz na to wszystko patrzy. Czy pan dziwi się? Wątpię. Pan kiedyś też był częścią stugębnej magmy. Czy nie musiał podsuwać twarzy, aby ledwie w wieku dwudziestu czterech lat zostać następcą tronu? A konkurencję miał piekielną! Cały zastęp wytrawnych notabli zabiegał o koronę. Ale oni spieszyli się, jeden przed drugim, skakali sobie do gardel rozdygotani, niecierpliwi, żeby już, już tron! Najosobliwszy pan umiał czekać. A to jest zdolność arcyważna. Bez tej umiejętności czekania, cierpliwej, a nawet pokornej zgody na to, że szansa może pojawić się dopiero po latach, nie ma polityka. Dostojny pan czekał dziesięć lat, aby zdobyć następstwo tronu, a potem czternaście lat, aby zostać cesarzem. W sumie – blisko ćwierć wieku ostrożnych, ale energicznych zabiegów o koronę. Mówię – ostrożnych, gdyż pana cechowała skrytość, dyskrecja i milczenie. Znał pałac, wiedział, że każda ściana ma uszy, że spoza kotar wylaniają się uważnie obserwujące go spojrzenia. Więc musiał być przebiegły i chytry. Przede wszystkim nic wolno było przedwcześnie odsłonić się, okazać pazernej pożądlivosti władzy, bo to natychmiast jednoczy konkurentów i podrywa ich do walki. Uderzą i zniszczą tego, który wysunął się do przodu. Nie, latami trzeba iść w szeregu bacząc, aby nikt nie wysforował się, i czujnie wyczekiwać momentu. W roku trzydziestym ta gra przyniosła panu koronę, którą zachował przez następne czterdzieści cztery lata.

G.S-D. Poduszkowy [s. 30]

Towarzyszyłem cesarzowi w podróżach po świecie i właściwie – powiem to z dumą – pan nasz nie mógł się nigdzie ruszyć beze mnie, gdyż jego godność wymagała, aby stale zasiadał na tronie, a na tronie nie mógł zasiadać bez poduszki, a poduszkowym byłem ja. Miałem opanowany w tym względzie specjalny protokół, a nawet posiadałem niesłychanie pożyteczną wiedzę na temat wysokości poszczególnych egzemplarzy tronu, która pozwalała mi szybko i trafnie dobrać poduszki odpowiedniego rozmiaru, tak aby nie doszło do gorszącego niedopasowania: między poduszką a butami cesarza jest jednak szpara! W moim magazynie miałem pięćdziesiąt dwie poduszki różnego formatu, grubości, materii i koloru. Sam doglądałem warunków, w jakich były przechowywane, aby nie zaległy się tam pchły – uciążliwa plaga naszego kraju – gdyż konsekwencje takiego niedbalstwa mogłyby skończyć się przykrym skandalem.

I.B. Woreczkowy [s. 37]

Byłem woreczkowym Aby Hanny Jemy – bogobojnego skarbnika i spowiednika cesarza. Obaj dostojnicy mieli ten sam wiek, a także byli podobnego wzrostu i zbliżonego wyglądu. Mówienie o jakimkolwiek podobieństwie do czcigodnego pana, wybrańca Boga, brzmi jak karalne zuchwalstwo, ale w wypadku Aby Hanny mogę sobie pozwolić na tę śmiałość, gdyż cesarz darzył mojego pana głębokim zaufaniem, a dowodem nawet pewnej intymności tego stosunku był fakt, że Aba Hanna miał nieograniczoną ilość dojść do tronu, miał po prostu, można tak określić – dojście nieustające. [...] Jako woreczkowy towarzyszyłem zawsze Abie w jego czynnościach fiskalnych nosząc za moim panem woreczek z przedniej jagnięcej skóry, który później burzyciele wystawili na pokaz ulicy. Miałem też opiekę nad innym, dużym workiem zapełnianym drobnymi monetami w wigilie świąt narodowych, którymi były: rocznica urodzin cesarza, rocznica jego koronacji i wreszcie powrotu z wygnania. Z takich okazji sędziwy nasz władca udawał się do najruchliwszej i najbardziej ludnej dzielnicy Addis Abeby zwanej Mercato, gdzie na specjalnie zbudowanym podniesieniu stawałem ów trudny do dźwignia i wydający metaliczny odgłos worek, z którego najdobrotliwszy pan czerpał garścią miedziaki i ciskał je w tłum żebraków i innej pożądlivej gawiedzi. Jednakże zachłanny motłoch wszczywał taki tumult, że zawsze ten akt miłosierny musiał kończyć się gradem policyjnych pałek na głowy rozochoconego i napierającego pospólstwa [...]

T.L. [s. 30-32]

My dear brother, godzina nominacji wprawiała w drżenie cały pałac! Dla jednych było to drżenie radości i głęboko zmysłowej rozkoszy, dla drugich, cóż, drżenie strachu i katastrofy, albowiem w owej godzinie czcigodny pan nie tylko nagradzał, obdzielał i nominował, ale także karmił, usuwał i degradował. Źle mówię! W rzeczywistości nie było podziału na uradowanych i wystraszonych; radość i strach jednocześnie wypełniały serca każdego wezwanego do Sali Audjencji, ponieważ nie wiedział on, co go mianowicie czeka. Na tym polegała najgłębsza mądrość naszego pana, że nikt nie znał swojego dnia, swojego przeznaczenia. Ta niepewność i niejasność intencji monarchy sprawiały, że pałac bez przerwy plotkował i gubił się w domysłach. Pałac dzielił się na frakcje i koterie, które toczyły ze sobą nieubłagane wojny osłabiając i niszcząc się nawzajem. I o to właśnie naszemu dostojnemu panu chodziło. O tę zapewniającą mu święty spokój równowagę. Jeżeli jakaś koteria brała górę, pan wkrótce obdarzał łaską koterię przeciwną i znowu przywracał paraliżujący uzurpatorów stan równowagi. Pan nasz naciskał klawisze – raz biały, raz czarny – i wydobywał z fortepianu harmonijną i kojącą jego ucho melodię. A wszyscy poddawali się temu naciskaniu, bo jedyną racją ich istnienia była aprobata cesarska i gdyby cesarz ją cofnął, jeszcze tego samego dnia zniknęliby z pałacu bez śladu. Tak, oni nie byli kimś sami z siebie. Byli widoczni dla ludu tylko tak długo, dopóki oświeślał ich blask monarszej korony. Hajle Sellasje był konstytucyjnym wybrańcem Boga i z tej wyniosłości nie mógł łączyć się z żadną frakcją, choć wysługiwał się to jedną, to drugą bardziej niż innymi, ale jeśli jedna z popieranych koterii zapędziła się w swojej nadgorliwości, wówczas cesarz karmił ją, a mógł nawet formalnie potępić. Dotyczyło to zwłaszcza frakcji ostrych, które pan nasz wyznaczał do zaprowadzenia porządku. Bowiem mowy cesarza były łagodne, dobrotliwe i pocieszające lud, który nie słyszał nigdy, żeby usta pana miały gniewne słowa, A przecież dobrotliwością nie sposób rządzić cesarstwem, ktoś musi poskramiać opozycję i dbać o nadrzędny interes cesarza, pałacu i państwa. To właśnie robiły koterie ostrych, nie rozumiejąc jednak subtelnych intencji cesarza, grzęzły w błędach, a ściślej – w błędzie przerysowania. Chcąc zyskać uznanie pana, gorliwie chciały wprowadzić porządek absolutny, tymczasem dostojnemu panu chodziło o porządek zasadniczy, to znaczy – porządek, ale jednak z pewnym marginesem nieporządku, na którym mogłaby się manifestować monarsza łagodność i wyrozumiałość. Dlatego też, kiedy koteria ostrych zaczęła wkraczać już na ten margines, napotykała karcące spojrzenie władcy. W pałacu były trzy frakcje zasadnicze – arystokratów, biurokratów i tak zwanych ludzi osobistych. Frakcja arystokratów, skrajnie konserwatywna i składająca się z wielkich posiadaczy ziemskich, grupowała się głównie w radzie koronnej, a jej przywódcą był rozstrzelany już książę Kassa. Frakcja biurokratów, najbardziej skłonna do zmian i najbardziej oświecona, bo część jej przedstawicieli miała wyższe wykształcenie, zapępiała ministerstwa i urzędy imperialne. Wreszcie frakcja ludzi osobistych była osobliwością naszej władzy powołaną do życia przez samego cesarza. Dostojny pan, zwolennik silnego państwa i władzy centralnej, musiał toczyć przebiegłą i zręczną walkę z koterią arystokratów, która chciała rządzić prowincjami i mieć słabego, powolnego cesarza. Ale nie mógł walczyć z arystokracją jej własnymi rękoma i dlatego stale powoływał do swojego otoczenia jako osobistych nominalistów i wybrańców ludzi z ludu, młodych i bystrych, ale najniżej urodzonych, ot, kogoś z najbardziej podrzędnego plebsu, często na chybił-trafił wybranego z motłochu gromadzącego się wówczas, kiedy pan nasz spotykał się z ludem. Ci osobiści ludzie cesarza, wyciągnięci wprost z naszej rozpaczliwej i nędznej prowincji na salony najwyższego dworu i tu spotykając się z naturalną nienawiścią i wrogością zasiedziały arystokratów, a szybko zakosztowawszy smaku pałacowych splendorów i jawnego uroku władzy, z nieopisaną wprost żarliwością i nawet namiętnością służyli cesarzowi, wiedząc, że przebywają tu i sprawują niejednokrotnie najwyższe godności w państwie tylko i wyłącznie z woli dostojnego pana.

Z.T. [s. 34-35]

Pan nasz w chwili udzielania nominacji widział przed sobą pochyloną głowę tego, kogo powoływał do wysokiej godności. Ale nawet dalekosiężne spojrzenie prześwietnego pana nie mogło dostrzec, co dalej działo się z tą głową. Tymczasem głowa, wykonująca w Sali Audjencji ruchy zniżająco-podnoszące, po minięciu drzwi rychło zmieniała pozycję, unosiła się do góry, sztywniała i przybierała mocny i zdecydowany kształt. Tak, mój panie, zdumiewająca była potęga cesarskiej nominacji! Bo oto zwyczajna głowa, tak dotąd poruszająca się naturalnie i swobodnie, tak gibka i nieskrępowana, tak chętna do zwrotów, przechylań, skłonów i przegięć, teraz namaszczonej nominacją ulegała przedwzrostowej redukcji, poruszając się odtył tylko w dwóch kierunkach – w kierunku pionowo-kuziemnym, jaki obierała w obecności dostojnego pana, i pionowo-kugórnym, jaki obierała w obecności pozostałych. Ustawiona na tym jednym torze kuziemno-kugórnym głowa nie mogła obracać się dowolnie (...) W ogóle pracując jako urzędnik protokołu w Sali Audjencji, zwróciłem uwagę, że nominacje powodują fizyczne zmiany w człowieku, i to zmiany zasadnicze (...) Przed wszystkim zmienia się figura człowieka. Dawniej szczupła i wcięta, teraz zaczyna zmierzać w stronę kwadratu, w stronę kwadratowej sylwetki. Jest to kwadrat masywny, solidny – symbol powagi i ciężaru władzy. Już po sylwetce widzimy, że to nie byle kto, tylko widoma godność i odpowiedzialność. Tej przemianie figury towarzyszy ogólne spowolnienie ruchów. Człowiek wyróżniony przez czcigodnego pana nie będzie już skakał, biegał, podrygiwał, swawolił. Nie, krok poważny, pewnie osadzający nogi na ziemi, lekkie przechylenie ciała do przodu oznaczające gotowość stawienia czoła przeciwności, ruchy rąk odmierzone, wolne od nerwowej i bezładnej gestykulacji. Również rysy twarzy poważnieją i jakby sztywnieją, robi się ona fraszobliwa i zamknięta, ze zdolnością jednak do okresowego przeskoku w aprobatę i optymizm, ale w sumie tak jest jakoś ułożona i ustawiona, że nie stwarza możliwości psychologicznego kontaktu, nie można się przy niej rozluźnić, odetchnąć. Zmienia się również spojrzenie.

Inna będzie jego długość i inny kąt padania. Spojrzenie to wydłuży się teraz, do jakiegoś punktu dla nas zupełnie niedosiężnego i dlatego rozmawiając z nominatem, (...) nie będziemy przez niego dostrzegani (...) Również nie możemy być postrzegani, gdyż kąt padania jego wzroku jest bardzo rozwany i w czasie rozmowy spojrzenie jego przechodzi nam gdzieś ponad głową (...) tak spogląda ponad naszą głowę, ku niezgłębionej dali, albo też goniąc myśl jakąś szczególną. W każdym razie odczuwamy, że jeśli nawet jego myśli nie są głębsze, są na pewno ważniejsze i bardziej odpowiedzialne, i zdajemy sobie sprawę, że w takiej sytuacji próba przekazania naszych myśli byłaby bezsensowna i małostkowa. Zapadamy więc w milczenie. Ale faworyt cesarski też nie garnie się do rozmowy, gdyż jednym z objawów ponominacyjnych jest zmiana sposobu mówienia, miejsce pełnych i jasnych zdań zajmują teraz rozliczne monosylaby, mruknięcia, chrząknięcia, zawieszenia głosu, wieloznaczne pauzy, mgliste słowa i takie reagowanie na wszystko, jakby on to dawno i dużo lepiej wiedział. Czujemy się więc zbędni i wychodzimy, a jego głowa w geście pożegnania przesuwa się po torze w kierunku pionowo-kugórnym. Bywało jednak, że dobrotliwy pan nie tylko awansował, ale – stwierdziwszy nielojalność – również, niestety, degradował, czyli – wybac mi, przyjacielu, prostactwo słów – wyrzucał z trzaskiem na bruk. I oto można, było stwierdzić, że bruk ma pewną interesującą właściwość, a mianowicie, że pod wpływem zetknięcia z brukiem ustępowały objawy nominacji, cofały się zmiany fizyczne, zbrukany wracał do normy, a nawet pojawiała się w nim nerwowa i może nieco przesadnie manifestowana skłonność do zbratania, jakby pragnął zatuszować całą sprawę, jakby chciał machnąć ręką i powiedzieć, ach, zapomnijmy o tym, jakby to dotyczyło nie wartej wzmiankowania choroby.

M. [s. 35-37]

Pytasz mnie, przyjacielu, dlaczego w ostatnim okresie władzy cesarza taki Aklilu, który nie miał żadnych funkcji i pochodził z plebsu, posiadał więcej władzy niż księżę Makonen, który kierował rządem i był wybitnością arystokratyczną? Bo stopnie władzy układały się w pałacu nie według hierarchii stanowisk, lecz według ilości dojsć do przeznaczonego pana. Takie było nasze wewnątrzpałacowe ułożenie. Mówiło się: ważniejszy jest ten, kto ma częściej ucho cesarskie. Częściej i dłużej. O to ucho koterie staczały najbardziej zażarte walki, ucho było najwyższą stawką w grze. Wystarczyło – ale nie było to łatwe! – dosunąć się do przemożnego ucha i szepnąć. Szepnąć i już – tylko tyle. Niech to gdzieś zapadnie, niech tam będzie, bodaj jako ulotne wrażenie, jako drobne ziarnko. Ale przyjdzie czas, że wrażenie utrwali się, a ziarnko urośnie i wtedy zbierzemy plon. [...] Dlatego ilość dojsć była ograniczona i stąd nie ustawała walka o podział cesarskiego ucha. [...] Cesarz miał zaufanych ludzi rozstawionych często na bardzo podrzędnych stanowiskach, a jednak jakże potężnych przez dużą ilość dojsć, o której nie mogli marzyć ich ministrowie i nawet członkowie rady koronnej, kapujące toczyły się zmagania. [...] Ja, mój przyjacielu, w najlepszym okresie mogłem liczyć na jedno dojscie miesięcznie, choć omyłkowo szacowano mnie nawet wyżej, ale i to była znacząca pozycja, gdyż poniżej dojsć bezpośrednich, najcenniejszych, układała się hierarchia dojsć pośrednich, drugo-, trzecio- i dalejrzędnych, a tam też widziało się waśnie, pazury, zabiegi, podkopy. O, takim, o którym wiedziało się, że dysponuje dużą ilością dojsć bezpośrednich, wszyscy w pas się kłaniali, choćby nie był ministrem. A taki, któremu ilość dojsć spadała, wiedział już, że dobrotliwy pan przesuwa go po linii pochyłej. Dodam, że w stosunku do swojej nie narzucającej się figury i kształtnej, proporcjonalnej głowy czcigodny pan miał uszy dużego formatu.

W.A-N. [s. 38-39]

[...] Wszędzie, dokądkolwiek udawał się pan nasz, lud objawiał swoją rozwydrzoną i nienasyconą chciwość prosząc to o chleb, to o buty, to o bydło, to o datek na budowę drogi. A pan nasz lubił odwiedzać prowincje, lubił prostym ludziom dawać do siebie dostęp, poznawać ich troski, pocieszać obietnicą, pochwalać kornych i pracowitych, karcąc leniwych i władzom nieposłusznych. Ale ta skłonność dobrotliwego pana szczerbiła skarbiec, bo prowincje trzeba było najpierw przygotować, pozamiatać, odmalować, zakopać śmieci, przetrzebić muchy, zbudować szkołę i dać działwie mundurki, odnowić budynek municypalny, uszyć flagi i wymalować portrety czcigodnego monarchy. [...] Wyobraź sobie, drogi przyjacielu, że osobliwy pan miałby zwyczaj zaskakiwania. Powiedzmy, że monarcha leci na północ, gdzie wszystko już przygotowane, protokół dopięty, ceremoniał przeciwiczony, prowincja lśni jak lustro, a tu nagle, w samolocie, czcigodny pan wzywa pilota i mówi do niego – synu, zawracaj maszynę, lecimy na południe. A na południu nie ma nic! Nic gotowego! Południe rozwałęsane, zababrane, złachmanione, czarne od much. Gubernator wyjechał do stolicy, notable śpią, policja rozpełzła się po wsiach i łupi wieśniaków. Jakąż by dobrotliwy pan odczuł przykrość! I jakież pohańbienie dla jego godności! A nawet – odważmy się powiedzieć – nawet po prostu śmieszność! Mamy takie prowincje, gdzie lud jest przygnębiająco dziki, nagi i pogański i bez pouczeń policji mógłby dopuścić się obrazy pańskiego majestatu. Mamy inne prowincje, gdzie nieokrzesane wieśniactwo na widok monarchy uciekłoby ze strachu. I pomyśl, przyjacielu, oto osobliwy pan wysiadł z samolotu, a wokół pustka, cisza, szczerze pole, jak okiem sięgnąć żywego ducha. Nie ma do kogo zwrócić się, przemówić, pocieszyć, nie ma bramy powitalnej, nie ma nawet samochodu. Co robić, jak się zachować? Postawić tron i rozłożyć dywan? Wypadnie jeszcze gorzej, bo śmieszniej. Tron dodaje godności, ale tylko przez kontrast z otaczającą go pokorą, to pokorność podwładnych stwarza potęgę tronu i nadaje jej sens, bez niej tron jest tylko dekoracją, niewygodnym fotelem o wytartym pluszu i pokrzywionych sprzężnach. Tron na bezludnej pustyni – to kompromitacja. [...] Czy można dziwić się, że w tej sytuacji dobrotliwy pan nie zaskakiwał? [...] Teraz wszelcy burzyciele władzy monarszej wytykają najzacniejszemu panu, że w każdej prowincji miał co najmniej jeden pałac, tak prowadzony, aby zawsze był gotowy na przyjęcie cesarza.